

**ELIZA
ORZESZKOWA**

WIDMA

Eliza Orzeszkowa

Widma

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Widma / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Zbankrutowany ziemianin najmuje się jako odźwierny w luksusowym hotelu. Urzędnicza rodzina oszczędza każdy grosz na edukację syna. „Widma” Orzeszkowa redagowała trzykrotnie, skracając i zmieniając formę powieści. Opowieść o podróży w górę i w dół drabiny społecznej, osadzona w rzeczywistości niewielkiego miasteczka, jest jednym z programowych utworów epoki pozytywizmu promującym pracę u podstaw i edukację narodową. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie na problemy społeczne — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

17

Eliza Orzeszkowa

Widma

Nigdy jeszcze żadne drzwi pod słońcem pochłubić się nie mogły tak pięknym odzwierciedleniem, jakim był ten, który od roku 1868 ery naszej, przez lat dziesięć przeszło, przyozdabiał wnieście do najwspanialszego hotelu miasta Onwilu, – hotelu, noszącego huczną nazwę Wszech-Krajów. Hotel to wspaniały, wnieście nie byle jakie i nazwa szumna. Jednakże wielu z pomiędzy przybywających do hotelu podróżnych, zamiast przypatrywać się krytemu blachą, a wysłanemu asfalterm podjazdowi, marmurowym schodom i zdobiącym je kobiercom i posągom, zatrzymywało wzrok na postaci i twarzy odzwierciedlenia, – wzrok, w którym przez chwilę objawiało się zdziwienie pewne, lub nawet zmieszanie. Rządca hotelu, pan Leonid Igorowicz (czytaj: Lejba syn Icka) Rozenblatt, wytworny młodzieniec, z rzeźsicie ufryzowanym czarnym włosiem, z turkusowym pierścieniem na palcu i wiecznie towarzyszącym mu zapachem różanego listka, często bardzo z chlubą i rozkoszą słyszał zwrócone ku sobie wyrazy gości:

– Ależ szwajcara macie... no! zkań-eście go sobie zapisali? Płacicie mu chyba summy bajońskie...

Niekiedy goście dodawali:

– Nie dziw zresztą, że możecie sobie książąt udzielnych na szwajcarów najmować... tego ludzi obdzieracie...

Ostatnie przemówienia te, mniejszą niż pierwsze, rozkoszą napawały pana Leonida Igorowicza. Ażeby więc ujmę tę wynagrodzić sobie, a przy tém okazać gościom, jak dalece wyższym się czuje nad wychwalanego przez nich szwajcara, z całej siły szczupłej piersi swęj i z wyniosłością największą, na jaką tylko zdobyć się mogła drobna istotka jego, wołać zaczynał:

– Andrzej Władysławo... aj! jakie to imię! Otock! Nu! Otock! czy ty ogłuchał? Otock!

Wołania te przecież pozostawały wołaniami na puszczy dopóty, aż pan Leonid Igorowicz, zmuszony istotną pilnością sprawy albo żądzą pokazania obecnym, że, bądź co bądź, szwajcar służyć go musi, zdecydował się wprowadzić w mowę swą małą poprawkę i wołać zaczynał:

– Panie Otock!

Wtedy przywoływany wychodził z oszklonego pokoiku, zwanego „łożą szwajcara”, albo wracał z pod krytego podjazdu, gdzie z powozów wyjmował pakunki gości, albo jeszcze zbiegał z marmurowych schodów i, stając przed rządcą, wymawiał:

– Słucham pana!

Obecnym wydawało się wtedy, że to żart, i że wnet, wnet, pan Leonid Igorowicz ukłoni się nisko przed Otockim mówiąc:

– Co wielmożny pan rozkaże? Może kupca na pszenicę nastreczyć?

Rzecz była w tém, że Otock wyglądał tak, jakby przez całe życie swe siał, zbierał i sprzedawał pszenicę. Szlachcic z dziadów pradziadów, szlachcic rolnik, z rycerską krwią w żyłach, patrzył mu z czoła i oczu, z postawy i ruchów ciała. Czoło to, wysokie, na pierwszy zaraz rzut oka przypominające podgolone czupryny, przerywały dwie poprzeczne zmarszczki, blizny niby, nie z orężnego przecież boju wyniesione. Z dumnym smutkiem czoła tego zgadzał się dobrze wyraz jego oczu, smutnych także, lecz śmiałych, a niekiedy jak stał na słońcu, błyszczących. Usta za to miał on łagodne, a niewieście ich uśmiechy nawpół kryły się pod ogromnym, białym wąsem, który mu aż na pierś prawie opadał. Włosy jego daleko mniej były siwe, niż wąsy; przez cerę twarzy przeglądało życie, skapanie naprzód w swobodnych powiewach szerokich pól, a potem w długich, wielkich cierpieniach.

Rosła i silna postać człowieka tego okryta była obcisłym, do ziemi prawie długim, surdudem z granatowego sukna. Szeroka pierś jego błyszczała galonami i posrebrzanymi guzikami hotelowej liberyi. Boże wszystkowiedzący! Ty jeden tylko wiedzieć możesz, co się z nim działo w chwili, gdy po raz pierwszy przywdziać miał granatowy surdut ów, z posrebrzanymi taśmami i guzikami! O

miejsce odźwiernego w hotelu Wszech-Krajów starał się być usilnie i gorliwie, a dla otrzymania go, przez dziesięć dni z rzędu po dwie lub trzy godziny przesiadywał w przedpokoju hrabiego X., który skutecznie zaprotegować go mógł, lecz którego przedpokojowa służba nie oznaczała się zbytnią uprzejmością dla tych, względem których pan jój miał wielostronne obowiązki. Przed tymi za to, względem których pan jój żadnych wcale nie miał obowiązków, służba ta czołem niemal o ziemię biła; ci też do salonów pana hrabiego wchodzili i wychodzili dumni, wielcy, silni; a Otockie w kącie przedpokoju, na stołku lokajskim siedział, bladł bardzo niekiedy, jak stałą wyostrzoną błyskał szarą żrenicą – i czekał. Doczekał się nakoniec. Pan Hrabia przypomniał sobie, że przecież coś tam... dla tego tam... uczynić trzeba; udzielił mu audyencji, i na karcie wizytowej skreśliwszy słów kilka, posłał ją właścicielowi hotelu Wszech-Krajów, który nie był wprawdzie ani hrabią, ani księciem, ale nie był też żadnym tym tam... bo miał miliony, a ochrzcił się święconą wodą (spytajcie go sami: w jakim kościele?) wtedy właśnie, kiedy Otockiego los bierzmował wielkim policzkiem.

Właściciel hotelu Wszech-Krajów rozkazał mu stanąć przed oblicznością swoją, a gdy już stanął, rzekł:

– Pan żadasz **zgodzić się** u mnie na szwajcara... no, ja nie bardzo z tego kontent, bo w mojej służbie same porządne ludzie powinni być, a pan zrobiłeś głupstwo, wielkie głupstwo...

– Za pozwoleniem pana! – drżącym głosem zaczął Otockie, ale właściciel hotelu wyprostował się i, z dłonią na marmurowym stoliku złożoną, mowę mu przerwał:

– Kiedy ja gadam, to żadnego „za pozwoleniem” niema... Kiedy ja gadam, to wszyscy powinni milczeć! sza! i obydwoma uszami słuchać. Pan zrobiłeś głupstwo, pan byłeś wariat, od pana trzeba uciekać, jak od szalonego. No! ale ja jestem dobry człowiek; ja kiedyś byłem w Otoku i dawniejszy dwór pański widziałem; mnie pana trochę szkoda, że pan teraz bez chleba jesteś! I z hrabią Henryczkiem ja w wielkiej przyjaźni żyję, a on mnie za panem prosi. To już ja pana za szwajcara wezmę i tylko bardzo proszę, żebyś pan o wszystkich głupstwach zapomniał, a o tém tylko pamiętał, że moim służącym jesteś... i wszystko tak robić powinienes, żeby mnie z tego największa korzyść była...

Otockie ukłonił się. O! cóż to był za ukłon! Kiedy oddawał go, patrzącemu z boku mogłoby się zdawać, że wszystkie kości jego, wszystkie, aż do najdrobniejszej, buntują się przeciw zadawanemu im gwałtowi i krzyczą z bólu. Ale właściciel hotelu Wszech-Krajów w najmniejszym stopniu nie znał się na niemych krzykach udręczonych kości ludzkich i, gdy Otockie znajdował się już u progu wspaniałego salonu, przywołał go jeszcze przed obliczność swoją.

– Pan Leonid Igorowicz Rozenblatt rozmówi się z panem detalicznie, co do pana obowiązków, a pan będziesz jego słuchał; bo choć on jeszcze bardzo młody, ale on mój kuzyn, i ja każę, żeby wszyscy moi słudzy szanowali go tak, jak gdyby on był ja...

Pod przewodnictwem pana Leonida Igorowicza odbywszy parogodzinną podróż po wspaniałym hotelu, Otockie stanął na koniec u drzwi izdebki, która mieszkaniem jego stać się miała. Ręką, na której podówczas nie świecił jeszcze pierścień z turkusem, wskazując mu izdebkę, pan Leonid Igorowicz rzekł:

– Tam jest ubranie wasze... ja te ubranie kazałem tam położyć... niech pan ubierze się i będzie gotów przyjąć gości, co za parę godzin z pociągu przyjadą. Pan już wie wszystko, co i jak robić... ja pana już uczyłem... Niech pan tylko dobrze sobie zapamięta: u nas edukacja powinna pokazywać się we wszystkiém... My tu wszyscy edukowani i dlatego hotel tak idzie, że mój stryj jeszcze jedno skrzydło dobudować chce... A co dla niego znaczy! on taki bogaty! a dlaczego on taki bogaty? dla tego, że edukowany. W terazniejszym świecie... Jak panu imię?

– Andrzej.

– A imię waszego ojca?

– Władysław.

– W terazniejszym świecie, Andrzej Władysławo... aj! jakie to trudne imię!...

– Niech mi pan lepiej mówi: Otockie!

– Dobrze. Mnie to wszystko jedno... W teraźniejszym świecie, mój panie Otocky, wszystko stoi na edukacji; bez edukacji człowiek głupi i nie wie, w którą stronę się obrócić. Ja bardzo szczęśliwy jestem, że mam edukację, i bardzo żałuję tych, co jej nie mają... No, mnie wołają na górę, do stryja! już ja muszę iść, a wy Andrzeju Władysław... aj! jakie to imię! ubierajcie się w naszą liberyę, tylko geszwind! żeby jak goście przyjadą, być... fertig!...

Co pan Leonid Igorowicz rozumiał pod wyrazem edukacja, o tym Otocky dowiedzieć się miał później, teraz zaś, szczęśliwy, że na krótką choćby chwilę samotnym pozostał, obejrzał się po swym kącie.

Kąt ów posiadał po pięć kroków rozległości wzdłuż i wszerz, jedną ścianę szklaną, trzy drewniane i jedno okno, wychodzące na kryty podjazd. Było to raczej złudzenie okna, gdyż przez dach podjazdu i podtrzymujące go kolumny światło się do niego dostać nie mogło. Że zaś za szklaną ścianą rozpościerała się sień, obszerna i ozdobna, lecz źle oświetlona, dla rozproszenia panującej w izdebce Szwajcara wiecznej szarej godziny, palił się w niej dniem i nocą różek gazu, na czarnym drucie nad biurkiem u okna stojącym zawieszony. Po co w izdebce szwajcara znajdowało się to stare biurko, niezmiernie skromnymi przyrządami do pisania zaopatrzone? wiedział o tym pan Leonid Igorowicz, który je tam umieścić kazał. Zresztą, było tam stołków parę, u ściany szklanej stał piecyk żelazny, a w kątku najciemniejszym, na żelaznym także łóżku, leżał granatowy surdut z błyszczącymi guzami i także czapka, oszyta srebrnym galonem.

Otocky podniósł nieco surdut i nagle wypuścił go z rąk, bo dokoła niego powietrze napełniło się szumem, nie tym jednak, który składał się z turkotu i głosów miejskich, lecz toczącym się wysoko nad głowami ludzkiemi, szumem starych drzew, pośród którego, w oddali, w dalekiej dali, dawał się słyszeć czasem klekot bociana, a czasem śpiew skowronka.

Otocky nie zdziwił się bynajmniej tym złudzeniem zmysłów, doświadczał go bowiem w każdej trudnej do przeżycia chwili oddawna, od czasu, gdy opuścił rodzinny swój Otok, aby udać się w podróż daleką i długą. Z dalekiej i długiej podróży, z której wrócił przed kilku miesiącami zaledwie, przywiózł on dwa nabytki: mleczną białość ogromnych swych wąsów i lekką niemoc w nodze, co, nie nadwężając energii jego ruchów, rzucała na nie cień wykwintej niedbałości, którą z zadowoleniem zauważył właściciel hotelu Wszech-Krajów, a pan Leonid Igorowicz naśladować postanowił...

Chwila była podobną tej, która następuje po przejściu wielkiej burzy. Gromy uderzać przestały, chmury przeredziły się i odsłoniły błękit i słońce; lecz w powietrzu, którego zmacone warstwy nie ułożyły się jeszcze w ład należyty, rojami latają liście, od drzew swych oderwane, doskonałe obrazy rozsypki, sieroctwa i obłędu. Kędy przedtym rosły wspaniałe drzewa, sterczą teraz nagie, zwęglone pnie; góry i wzgórza zamieniły się w głębokie rozdoły, a doliny wydeły się, urosły i szumiącą pianą oblewają upadłe wielkości. Biedne liście latają we wszystkie strony, szukają, nie znajdują, dziwią się, nie rozumieją nic i, spotykając się, szepczą sobie po cichu, że świat się kończy. Jest to jednak nieprawdą; świat wielce oddalonym jest końca swego, a tylko czas i wypadki zorały grunt jego i rzuciły weń zasiew nieznanym przedtym zjawisk.

Otocky był jednym z liści takich. Miał kiedyś wioskę cichą i piękną, z szumiącymi drzewy, klekocącym bocianem i skowronkami, zrywającymi się znad zielonych runi; nie była już ona własnością jego. Posiadał znajomych, przyjaciół i krewnych; – co się teraz z nimi działo? Bujali, jak on, w zmaconym powietrzu, pośród obcych i niepojętych im obrazów, albo, przypadli do ziemi, do samej ziemi i przyłgnęli do niej mocno, cicho, tak jakby pragnęli, aby świat o nich zapomniał, aby tylko końca swego w pokoju i bezpieczeństwie doczekać mogli. Nadewszystko przecież, nadewszystko Otocky pamiętał o tym, że był kiedyś ojcem, miał jedyne syna, który w czasie nieobecności jego z szybkością nadzwyczajną dokonał z kolei wielu rzeczy: dorósł, w charakterze najniższego kancelisty pracować zaczął w jakimś rządowym biurze, ożenił się, wpadł w nędzę, dostał suchot i – umarł. Żona jego, a Otockiego synowa, poszła wkrótce w ślady męża. Jeden ze strumieni przez burzę wywołanych, ten mianowicie, który płynął sieroctwem przedwczesnym i

ubóstwem niespodziewaném, porwał na fale swe dwa te liście bezdomne a słabe – i uniosł je w nieznane krainy.

Otocki rozejrzawszy się dokoła i dowiedziawszy się o wszystkiém, pomyślał, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką uczynić mógł, było dobrowolne udanie się w tęż drogę, w którą udał się jedyny syn jego, a z której – nie wraca nikt. Wprawdzie trudno mu było zdobyć się na krok ten, gdyż posiadał on wiarę religijną, samobójstwa wzbraniającą. To jednak, czego pragnął, co uważał za wypadek najpomyślniejszy ze wszystkich, jakie go jeszcze na ziemi téj spotkać mogły, przyszło – by może samo przez się, w skutek nadzwyczajnego zniechęcenia do wszech rzeczy ziemskich, które go ogarnęło i odebrało mu tak siłę, jak ochotę bronić się od głodu. Co prawda, nie miał on nawet przebłysku pojęcia o tém, w jaki sposób mógłby i potrafił pracować na kawałek chleba. Otwarcie zeznawał przed sobą, że oprócz siania, zbierania i sprzedawania żyta i pszenicy, to jest tego, co robił przez całe życie, nie umiał robić nic. Jednak ani mu przyszło na myśl zapytać siebie: co z tego będzie? Miał jeszcze o czém przeżyć tydzień, dwa, a potem... o! strumieniu, który na falach swych uniosł w krainy nieznane wszystkie bogactwa i ukochania człowieka tego, z czołem zoraném i wąsem, jak śnieg białym, przybywaj!...

Z czołem zoraném i białym wąsem, melancholijnie na pierś opadłym, z twarzą znieruchomiałą i dłońmi, bezwładnie na kolana opuszczonemi, Otocki siedział w najętój izdebce, zimnej, mrocznej i nieustannie, z wyrazistością nigdy przedtém nie bywałą, słyszał dokoła siebie szum starych lip, klonów i topoli. Lipy były rozłożyste i gwarzyły najgłośniej; klony zaś osypane drobnym, żółtym kwieciem kłaniały się zdala topolom tak połyskującym, jakby je kto był w roztopioném srebrze zanurzył. Jabłonie, grusze, śliwy, rosnące pośród ogrodowych kwadratów, prawyły o czémś ciszej i skromniej, a szepty ich, niesione wiatrem, łączyły się w powietrzu ze smutnym szmerem, stojącej po polach, samotnej i dzikiéj braci. Wśród szumów tych, które gamą spadów i tonów przeróżnaitych toczyły się w powietrzu, kędyś nad strzechą jakąś zapewne, klekotać zaczął bocian i klekotał wciąż, coraz zawzięciej i doniosléj, a gdy milkł na chwilę, z za drzew i strzech, z nad runi zielonéj, z błękitnego powietrza, dolatywało cichutkie, srebrne dzwonienie skowronka... Otocki wsłuchiwał się w otaczające go szумы i odgłosy, i myślał: gdyby to umrzeć!...

Wtém otworzyły się drzwi, o zamykaniu których ani pomyślał; do izdebki wszedł nieznany mu człowiek i, wymawiając znane niegdyś nazwisko, oddał mu list. Otocki list ten przeczytał i – odżył. Jakby w czarodziejskich, siłodawczych wodach skąpany, począł on od dnia tego ruszać się po świecie, starać się o pracę jakąś, jakąkolwiek, byleby mogła mu udzielić możności życia. Starał się, wypytywał, prosił, kark do ukłonów zginał, tłumił wybuchy głosu, powściągał błyski źrenic, wszystko znosił, na wszystko przystawał, byleby dopiąć celu. Dopiął go nakoniec, zdobył zajęcie i zarobek i – wypuściwszy z rąk surduta liberyjny, runął na stołek, kryjąc w dłoniach twarz, płonąca szkarłatnym rumieńcem.

Nie chieć przydziać się w liberyą hotelu Wszech-Krajów był to zapewne przesąd, – przesąd marny i bezpodstawowy, sprzeczny zupełnie z powszechnie znanym axyomatem, że nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię. Suknia! cóż? prosta to kwestya barwy i kroju. Rządząc się prawami czystego rozumu, Otocki powinien był ze stoicką obojętnością włożyć na siebie odzież, która z wszelką inną odzieżą różniła się tylko krojem i barwą. Na nieszczęście, o doli lub niedoli człowieka nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają téż na nie uczucia, przywyknienia i nawet przesady. Otocki przesądnym był, to pewna; nie unicestwiała to przecieź faktu tego, że liberyi hotelu Wszech-Krajów ze wszystkich sił i wszystkiemi władzami istoty swéj włożyć na siebie nie chciał, a niechcenie to sprawiało, iż cierpiał bardzo. Cierpiał tak bardzo, że tuż, tuż zerwać się już miał ze stołka, udać się do pana Leonida Igorowicza i oświadczyć, że zrzeka się miejsca, o które starał się być jednak tak długo i tak gorliwie; gdy... drżąca dłoń jego, przesuując się po piersi wzdętéj czemś nakształt łąkania, dotknęła szeleszczącego przedmiotu jakiegoś, znajdującego się w kieszeni wytartego surduta. Szybko, gwałtownie niemal, wyjął on z kieszeni szeleszczący ten przedmiot. Był to list, ten sam, który oddano mu wtedy, gdy, w zimnej i mrocznej izdebce siedząc, wsłuchiwał się w czarodziejski

śpiew swój przeszłości i myślał o udaniu się w bezpowrotną drogę. I teraz także otworzył list ten i od początku do końca przeczytał, co następuje:

„Szanowny panie Andrzeju!

„Nie jest zapewne panu niewiadomém, że syn jego, umierając, pozostawił dwuletnią córeczkę, którą w rok potem Pan Bóg pozbawił też matki. Przez pamięć na dalekie pokrewieństwo, które łączy mię z kochanym panem Andrzejem, i przez litość nad biedną sierotą, wzięłam dziecię do domu mego, gdzie też dotąd przebywa, hodując się wspólnie z dziećmi memi. Nie jestem jednak wcale bogatą, mam troje dzieci własnych, a ostatnie czasy zrujnowały mię majątkowo i zarazem pozbawiły opieki mężkiej. Dowiedziawszy się więc o powrocie szanownego pana Andrzeja z podróży, postanowiłam zapytać: czy nie zechciałby pan wziąć wnuczki swój do siebie? ja bowiem z trudnością mogłabym ją nadal utrzymywać; co zaś do wychowania, to już za nic nie ręczę i nic nie przyrzekam. Jeżeli pan przychylił się do prośby mojej, postaram się, aby ktoś, godny zaufania, odwiózł dziecko do Onwilu. Lusia ma teraz lat sześć i jest nadzwyczaj podobna do ojcia¹ swego, któregośmy wszyscy tu znali i żalowali bardzo. Biedak, porządnego wychowania, w nieobecności pana, nie otrzymawszy, pracował, jak mógł i umiał, ale żony i dziecka przyzwoicie utrzymać nie mogąc, zapracował się i zagryzł w bardzo młodym wieku. Synowa pańska była dobrą i ładną kobietą, ale słabowitą też, delikatną i – do niczego. Lusia jest prawdziwie dzieckiem nieszczęścia i tylko w szanownym panu można pokładać nadzieję, że los jój uczynisz lepszym, niż był ten, który zgłębił biednych jój rodziców”.

Nadzieję! w nim tylko mała wnuczka jego pokładać mogła nadzieję uniknięcia złej doli! w niej tylko spoczywała nadzieja jego – posiadania jeszcze w życiu tém jakiejś nadziei!

Zerwał się ze stołka i pochwyił w obie ręce surdut liberyjny. Ubierał się prędko, prędko, zapinał u piersi srebrne guziki, prostował i wykladał u szyi kołnierz, osyty galonem; a choć na czoło jego, bardzo blade, wystąpiło kilka kropel potu, choć czuł, że skóra jego przy zetknięciu się z granatowém sukniem drga mu i boli od stóp do głowy, – na ustach jego, pod wąsem białym, przewijał się uśmiech, a szare źrenice błyszczały jak stal.

W tój chwili zastukano do szklanych drzwi izdebki i głos kobiecy zawołał:

– Panie Andrzeju! panie Andrzeju! Lusię przywieźli! przyproceedziłam ją panu!

Wtedy, rosły i barczysty człowiek ten, jak w futerale zamknięty w obcisłym, do ziemi prawie długim, surducie, z młodzieńczą żywością rzucił się ku drzwiom i, porwawszy w ramiona szczupłe, ubogo ubrane, dziecię, wniósł je do izdebki. Tu, bladą twarz dziewczynki wysuwając pod światło gazowego różka, chciwy wzrok zatapiał w nią przez chwilę i śmiał się głośno, serdecznie, z całej piersi. Potem zaczął całować dziewczynkę w usta, oczy, włosy i mówić przytém nie wiedząc co, słowa jakieś bez sensu, ni związku.

– Po Romku moim! – szeptał, – po biednym moim!... biore... biore... zobaczysz, jakim będę dla dziecka twego! Żebym ją znał, tobym wiedział, czy to maleństwo podobne do matki!... Oczy Romka i moje, bo my z sobą byliśmy podobni!... Dziadunio! oho! dziadunio! dam ja tobie mała, za to, że mię starym dziadem robisz!... Co? możeś się zlekła?... oj ty robaczku! promyku łaski Bożej, spadły na ciemną drogę moję!

Tu, cisnąc małą do piersi, z wielkim wybuchem głosu, zawołał:

– Jedyna moja!

¹ ojca. [przypis redakcyjny]

Takiem było zainstalowanie się Otockiego w hotelu Wszech-Krajów. Małą Lusię przecież gdzieindziej ulokował, nie podobna bowiem było, aby dziewczynka mieszkać mogła w hotelu, w oszklonej i wiecznie mrocznej izdebce dziadka Szwajcara.

Kobieta, która przyprowadziła Lusię do dziadka i w krótkiej rozmowie umówiła się z nim, że w zamian małej oznaczonej opłaty utrzymywać ją i hodować w domu swoim będzie, była panią Anielą Marcellową Ryżyńską, żoną kancellisty, pracującego w jednym z biur rządowych, a za pracę swą otrzymującego w dwudziestym dniu każdego miesiąca rubli srebrem dwadzieścia.

Średniego wzrostu i silnej budowy ciała, nieodznaczającej się zbytnią niezgrabnością, ani też żadnym szczególnym wdziękiem, w skromnej czarnej sukni, przez oszczędność zapewne przywiązkiej i przykrótkiej, w futerku z wytartym nieco pokryciem i zrudziałym kołnierzem, w kapeluszu czarnym, oprócz czarnej też woalki nie posiadającym cienia ozdób żadnych, pani Anieli przebiegała często ulice ludnego miasta, przez nikogo nie spostrzegana, bo najmniejszą cechą wyłączności jakiegokolwiek uwagi niczyjej na siebie nie zwracająca. Aby zwrócić na siebie uwagę ludzką, musiałaby ona chyba gwałtownie komu w drogę wleźć, z okna trzeciego piętra na ulicę spaść, albo być przejechaną. Inaczej, nikt wyróżnić nie mógł skromnej tej, niepięknej, ubogiej, a zawsze czegoś śpieszącej się, śmiertelniczki, z pomiędzy tłumu śmiertelników, zupełnie podobnymi cechami obdarzonych. Jednak, kto-by chciał i umiał spostrzegać, ten w powierzchowności jej spostrzedz mógł cechy pewne, jej tylko właściwe, i nawet chwili, zastanowienia godne. Twarz jej była okrągła, pełna i silnie rumiana, co czyniło ją młodszą, niż była istotnie, miała bowiem lat trzydzieści kilka, a dwudziestoletni koloryt cery. Lecz, na tle właśnie zdrowych i silnych rumieńców tych, w szczególny sposób uderzały wzrok patrzącego trzy głębokie bruzdy, poprzecznie przerywające czoło i rój drobnych zmarszczek, które w różnych kierunkach okalały oczy. Sprzeczność to była, która na twarz tę kładła dwa różne piętna: zdrowia i życia z jednej strony, z drugiej – cierpienia. Cierpienie zaś znajdowało się w tej odmianie swojej, która nosi nazwę – troski. Nie był to żaden ból serdeczny, ani żadna tęsknota, ani żaden subtelny jad goryczy lub zwątpienia; była to troska powszednia, pozioma, lecz dawna snadź i nieustanna. Troska ta też sprawiała, że oczy pani Anieli, błękitne jak niebo i, zda się, tylko stworzone, aby wznosić się ku niebieskim wysokościami, dziwnie były ruchliwe i niespokojne. Jeżeli prawdą jest, że dusze ludzkie przemawiają przez oczy, to dusza pani Anieli wołała ciągle: „o! jakże mi pilno! jakże wiele mam do zrobienia! co ja pocznę! jak ja sobie poradzę!” A gdy takie wykrzyki wydobywały się z duszy jej przez błękitne, niespokojne oczy, usta jej, niezbyt kształtne, uśmiechały się do ludzi, z którymi rozmawiała, uśmiechem zbyt szerokim, lecz w którym ukazywały się dwa rzędy białych jak perły zębów. Czasem, gdy uśmiechała się w ten sposób, nie wiedzieć dla czego, w téjże chwili do oczu jej nabiegały łzy. Miałażby rozstrojone nerwy lub może taki na dnie serca gruby pokład smutku, że zeń co chwila, bez jej o tym wiedzy, podnosiła się wilgotna para i na mgnienie oka okrywała źrenice jej szklistą obłoną? Niewiadomo. I o tym również wspomnieć warto, że ręce pani Anieli były czerwieniejsze jeszcze od jej twarzy, zgrubiałe, spracowane, wyraźnie zdradzające bardzo rozległe a ciągle stosunki z rądlami, balią, miotłą, igłą. Rąk tych nie okrywał żaden cień rękawiczek nigdy, ani w mrozy, ani w niedziele.

Tak wyglądała kobieta, która, małą Lusię prowadząc za rękę, wraz z nią przebyła parę ludnych ulic, weszła w głęboką, sklepioną bramę, bardzo starą i bardzo wysoką, na żółty kolor pomalowanej kamienicy, i wspinać się zaczęła na wąskie, źle oświetlone, brudne wschody. Długa to była wędrówka. Na pierwsze i na drugie piętro wbiegły obie szybko i z łatwością przebywając trzecie, kobieta zwolniła kroku; u początku czwartego dziecko stanęło zdyszane i zarumienione od zmęczenia.

– Co? już zmęczyłaś się! – zaśmiała się pani Anieli, – nie bardzo widać silną jesteś... mój Julek, jak był w twoim wieku, to dwieście razy na dzień wlatywał na te same wschody i zlatywał z nich. Chcesz odpocząć? E! niema czasu odpoczywać! moi tam gdzieś bez obiadu siedzą...

Schyliła się, pochwyciła dziewczynkę w ramiona, i z ciężarem tym przebywszy jeszcze ze trzydzieści wschodów, stanęła przede drzwiami, których liczne szczeliny zapełnione były pakułą i

obite skrawkami sukna. Zasapana, czerwieńsza jeszcze, niż zwykle, postawiła dziecko na ziemi i weszła do mieszkania, wołając na idącą za nią dziewczynkę:

– Chodź! chodź! chodź! chodź!

Wołanie to było pieszczotliwe i wesołe.

Przez malutką kuchenkę, w której nie było w tej chwili ognia, weszły do pokoiku ze ścianami pomalowanymi na brzydki żółty kolor, z trochę starych i bardzo tanich mebli i jedném oknem, wychodzącém na ulicę, a raczej wznoszącém się nad nią o całą wysokość czterech pięter. Tu pani Aniela zdjęła kapelusz, z pod którego ukazały się bujne włosy płowo-rudego koloru, gładko nad czołem przyczesane, a z tyłu głowy w jeden wielki warkocz zwinięte, i schyliwszy się ku Lusi, rozebrała ją z szarój i niedość ciepłej zimowej odzieży. Czyniąc to, rzuciła pytanie:

– Dawno tu już jesteś, Marcelli?

Siedzący u okna mężczyzna odpowiedział:

– Jak zwykle... wyszedłem z biura punkt o trzeciej.

Schylona wciąż nad dziewczynką, starannie zawiązując na szyi jój ciepłą chusteczkę, zapytała jeszcze:

– Czy bardzo jesteś głodny?

– Ej nie, – odpowiedział, – tylko myślę, że nie będę już miał czasu zasnąć trochę przed pójściem do biura.

– Oho! – zawołała, prostując się – jeszcze czego! żebyś i tego nawet odpoczynku nie miał! Spóźniłam się dziś z obiadem, to prawda... trzebaż było temu biedakowi wnuczkę pokazać, ale nic to! zaraz nakryję i podam! szach mach! zjesz i zaśniesz jeszcze sobie! Julek! Julek!

Na ten ostatni wykrzyk, z przyległej izdebki wyszedł chłopak w gimnazjalnym mundurku, niewiele więcej nad lat dziesięć mieć mogący, z podartą książką w rękę.

– Patrzaj! – rzekła doń pani Aniela – oto panna Ludwika Otocka, wnuczka pana Andrzeja, który tu u nas bywa. Nazywa się Lusią. Dziś zrana, kiedyś był w szkole, przyjechała ze wsi. Mieszkać będzie u nas. Proszę być dla niój grzecznym, zabawić ją i pomódz, aby rozgościła się w domu.

Stanowczym i urywanym tonem dowódzcy rozkazy te wydawszy, zakrzętnęła się około nakrywania do obiadu małego stołu, przed rozłożystą, starą jak świat, kanapą stojącego. Robiła wszystko z nadzwyczajnym pośpiechem i zajęciem, możnaby powiedzieć – z zapałem. Obiad, składający się z rosółu i kawałka gotowanego mięsa, stał gotowy w kuchennym piecyku. Przyniosła go w wyszczerbionój wazie, którą na stole postawiwszy, ukroiła cztery porcyce razowego chleba, rozdzieliła mięso na cztery części i zawołała:

– Proszę na obiad!

Mężczyzna, siedzący dotąd pod oknem, wstał i powoli zbliżył się do stołu. Był to człowiek, wyglądający na lat czterdzieści, średniego wzrostu, szczupły, z długą, bladą twarzą, otoczoną krótko przyszczyżonymi włosami i pozbawioną wszelkiego zarostu. Twarz ta, połyskująca od niezmiernie starannego wygolienia, uderzała szczególną sztywnością rysów i wyrazu. Piwne, głęboko osadzone, oczy jego, przesuwwały się z przedmiotu na przedmiot leniwie i obojętnie; wazkie i blade wargi obu kątami zwisały w dół, co nadawało im wyraz niemój goryczy i wytwarzało na policzkach dwie głębokie i suche fałdy.

Z tą martwotą i suchością powierzchni całej w szczególny sposób sprzeczała się chciwość, z jaką pan Marcelli zabrał się do jedzenia. Jadł prędko i łakomie, a jednak niewiele, bo wkrótce odsunął od siebie talerz, na którym znajdowało się jeszcze sporo zupy i mięsa. Znać w nim było człowieka zgłodzonego, lecz któremu niezdrowie i zmęczenie pozwalało lada okruszyną głód zaspokoić. Pani Aniela podniosła twarz z nad talerza i niespokojnie na męża spojrzała.

– Dla czego przestałeś jeść, Marcelli? – zapytała. – Mój Boże! jakże można jeść tak mało, pracując tak wiele! Czy ci nie smakuje? czy może... nieprzyjemność jaką dziś miałeś?...

Ryżyński uczynił powolny ruch ręką.

– Co tam! – rzekł. – Ile chcę, tyle jem. Więcej nie chcę.

Mówił suchym i przytłumionym głosem. Pani Aniela patrzyła nań coraz niespokojniej.

– Cóż? – zaczęła – pewnie znowu **ten** powiedział ci co przykrego? Może ci więcej jeszcze, niż zawsze, roboty nadawali? Miałeś nieprzyjemność jakąś... już ja to widzę...

Energiczniej nieco, niż przedtém, Ryżyński zaprzeczył:

– Ej nie! nic dziś nie stało się nowego. Po co masz martwić się daremnie! jak wczoraj, tak dziś, tak jutro... Co było, to jest, a co jest, to będzie!... i koniec!...

– No, no! – uspokojona już nieco odrzekła pani Aniela – żeby tylko gorzej nie było... żeby nie gorzej...

– Otóż to! – dokończył Ryżyński, a gdy wymawiał krótki ten wyraz, kąty ust jego drgnęły, a w głębi leniwych i ostygłych źrenic zamigotało smutne i trwożne światelko.

Na tych kilku zamienionych słowach ograniczyła się cała przyobiednia rozmowa. Lusią i Julek nie mówili nic, tylko od chwili do chwili ciekawie spoglądali na siebie.

Ze zwykłą szybkością i energią ruchów, pani Aniela wstała od stołu i, podjawszy wysoko, a białym fartuchem starannie osłoniwszy czarną swą suknię, gorliwie zajęła się w kuchence myciem i wycieraniem talerzy, garnków i rądli; pan Marcelli zaś powoli wsunął się do przyległego pokoiku, gdzie zdjął surdut z pozłacanymi guzikami, włożył natomiast szlafrok, spuścił u okna płócienną roletę i położył się na jednym z dwu łóżek, zapełniających sobą cały prawie pokoiok. Po chwili usypiał już głęboko, a delikatny, zmięty profil twarzy jego, żółtawą bladością odbijający od białych poduszek, wydawał się we śnie bardziej jeszcze zmęczonym i martwym. Pani Aniela szybko i na palcach przebiegła bawialną izdebkę, cichutko przymknęła drzwi sypialnego pokoju i, zwracając się ku dzieciom z palcem do ust przyłożonym, szepnęła:

– Cicho dzieci! cicho! nie obudźcie go czasem.

Potém przez czas jakiś jeszcze brząkała w kuchence talerzami i garnkami; przysiadłszy na ziemi, czyściła krędą samowar; narzuciwszy chustkę na głowę i plecy, wybiegła z mieszkania i wróciła wkrótce z dzbankiem pełnym wody w jednej ręce, a koszyczkiem z bułkami w drugiej; samowar wyczyściwszy, dzbanek z wodą i bułki umieściła na stojącym u okna tapczanie, odetchnęła głęboko, przymknęła powieki i w mgnieniu oka, z głową wspartą o twarde skraj okna, usnęła. Był to widocznie sen na prędcie, ogarniający ją nieprzewyciężenie, sen, któremu uległa bez namysłu i pomimo woli. Za poduszkę służył jój, zwinięty z tyłu głowy, złocisto-rudy warkocz.

W małym mieszkanku, w tém gnieździe ubogim i tak wysoko wzniesioném, iż zdawało się ono być bliższém chmurnego nieba, niż błotnistej ziemi, zapanowała wtedy cisza głęboka. Ciszę tę mącił tylko monotony, głośny oddech dwojga uspijonych ludzi, chrapliwy tentent wiszącego na ścianie zegara z bukietem róż na starém obliczu, albo kędyś w dole, w głębokim dole, toczący się, do grzmotu głuchego podobny, turkot, lub przeciągłym jękiem strzelający w górę oderwany dźwięk katarynki. W ciszy téj, na dwóch wysokich krzesłach, spłowiłym perkalem obitych, siedzieli u okna Julek i Lusią, milcząc i z kolei patrząc to na siebie, to na okno, powlekające się zwolna szarą zasłoną zmroku. Chłopiec był ładny, smukły, z bladawą, ściągłą twarzą, okrytą wyrazem znudzenia i niezadowolenia, właściwym mu snadź, a zwiększonym przez to, że gęste ciemne włosy jego były w szczególny sposób rozczochrane; nieład zaś ten, w uczesaniu jego zachodzący, zwiększał on jeszcze co chwila niecierpliwymi i znudzenie wyrażającymi gestami. Dziewczynka, przeciwnie, zachowywała się bardzo spokojnie. Miała ona włosy jasne jak len, a oczy duże, ciemne, z czarną brwią i rzęsą. W oczach i w zarysie bladawych ust wnuczki szwajcara spoczywała, dziwna w jój wieku zaduma. Nie była strwożoną znalezieniem się wśród miejsc i osób obcych; zdawało się tylko, że myślała nad czémś chmurnie a spokojnie.

Chłopiec pierwszy przerwał milczenie.

– Cóż? – zapytał – ze wsi przyjechałaś? cóż tam na wsi? Jak to wygląda?

– Alboż sam nie widziałeś? – odpowiedziała z cicha, lecz śmiało.

– Żebym widział, tobym nie pytał. Co ja widział? Żółte ściany i koniec. Czy i na wsi są takie żółte ściany?

Tu rzucił ręką, wskazując brzydkie, monotonne, żółte, jak ośrodek jaja, ściany rodzicielskiej bawialni.

Dziewczynka spojrzała dokoła i odrzekła:

– Nie! Takich ścian tam nie ma.

– A cóż jest?

Z powagą i niezmaconym spokojem wyliczać zaczęła:

– Drzewa, takie zielone... ptaki, kwiaty, żyto, kury, indyki takie wielkie, koty... wszystko!

– Patrz! patrz! – rzekł Julek – to tam dużo ładnych i ciekawych jest rzeczy! Szczęśliwa jesteś, żeś to wszystko widziała.

Dziewczynka wymówiła krótkim i dziwnie suchym tonem:

– Nie!

– Co? nie? – zapytał Julek.

– Ja nie jestem szczęśliwą! – odpowiedziała.

– A dla czegoż to? Przecież do **klas** nie chodzisz i na takie żółte ściany od urodzenia swego, tak jak ja, nie patrzałaś! To i czemu nie jesteś szczęśliwą?

– Ot, zwyczajnie, – rzekła – sierota i koniec.

– No! matki i ojca nie masz, już słyszałem o tém. Z dziatkiem dziś się poznałaś i zdaje się, że nie wielką będziesz miała z niego pociechę. Stary, będzie na ciebie pewno gdęrał. Ale zawsze... czemuś nie była szczęśliwą? Czy źle obchodzili się z tobą?

– Nie! – odpowiedziała ze zwykłym spokojem.

– No, to cóż?

– Nic... tak jakoś... – szepnęła.

– Cóż to znaczy: tak jakoś?

Wzruszyła z wolna ramionami.

– Czy ja wiem? Wszyscy poumierali, wszyscy cudzy, nikt nie pokochał nigdy, nikt nie pożałował i... koniec.

– E! – rzekł Julek – kaprysisz! Co ci tam złego? Ot mnie bieda i bieda! odkąd urodziłem się, zawsze to samo i to samo. Ojciec biędzie klepie, matka biędzie klepie i ja klepać muszę.

– A czemuż to tak? – zapytała Lusja.

– Ot czemu? Wiadomo. Ojciec jest urzędnikiem kancelistą, dwadzieścia rubli na miesiąc bierze, a wiesz ty, że to wielka bieda. Ale toby jeszcze nic, żeby jaka nadzieja była, że człowiekowi lepiej kiedy będzie. Gdzie tam! Czy ty wiesz, że gdyby ojciec gwiazdy z nieba zdejmował, gdyby zapracował się na śmierć, toby nic z tego nie przybyło. Co było, to jest, co jest, to będzie...

Lusja przerwała:

– Twój tatko tak przy obiedzie mówił...

– A mówił. On to zawsze mówi i ja nauczyłem się mówić. Żółte ściany były, żółte ściany są i żółte ściany będą.

Przy tych słowach, obie ręce podniósł ku głowie i do niepodobieństwa zczochnął swe włosy, przyczem pełne nienawiści spojrzenia rzucał na ściany bawialnej izdebki, do których wyraźnie uczuwał głęboką i niemilknącą nigdy antypatyę.

– A dla czegoż to tak? – zapytała znowu Lusja.

– Albo ja wiem? – odpowiedział – albo mnie kiedy ktokolwiek co wytłómaczy? rozpowie?... gdzie tam! Ojca nigdy w domu nie ma, a jak przyjdzie, to taki zmęczony, że tylko zjé i spać idzie; mama zawsze zajęta i, jak się o co spytam, to mówi, że czasu nie ma, albo że sama nie wie... bo pewno nie wie. Ja chciałbym o wielu rzeczach wiedzieć: co to? jak to? po co? zkąd? ale dowiedzieć się ani sposobu. Nuda tylko, bięda i po wszystkiém.

– I koniec! – zawtórowała Lusja.

W czasie, gdy Julek wynurzał przed nią dolegliwości swe, w sposób, zdradzający wczesną dojrzałość, a może i wczesne nadwiednięcie dziecięcej jego istoty, ona myślała zapewne o własnych przebytych biedach i, jak mała papużka, zmieniająca tylko ton podanego sobie wyrazu, wymówiła:

– I koniec!

Jakby dla rozweselenia, biadającej téj u szarego okna, pary malutkich ludzi, nad zdobny w bukiet z róż cyferblat starego zegara wyskoczył szary ptak sporéj wielkości i, z łoskotem uderzając blaszanymi skrzydły, w ciszę i zmrok, napełniające pokoiki, rzucił pięć razy powtórzony okrzyk:

– Kuku! kuku!

Stary zegar posiadał nietylko wesoly bukiet róż, ale weselszą odeń kukułkę, która co godzina przyzywała pomiędzy żółte ściany, te śmiertelne nieprzyjaciółki Julka, świetlaną wiosnę, tę dotychczasową serdeczną przyjaciółkę Lusi. To téż po raz pierwszy, odkąd tu weszła, dziewczynka uczyniła ruch żywy i prawdziwie dziecięcy. Zerwała się z krzesła, klasnęła w dłonie i z głośnym okrzykiem:

– Kukawka! kukawka!

Rzuciła się ku zegarowi, wyciągając doń obie ręce. Niestety! czarowne zjawisko, po wygłoszeniu piątej z południa godziny, zapadło szybko w niewidzialne głębie zegara; Lusiu w mgnieniu oka téż ochłonęła z doświadczonego wrażenia i, poważna znowu, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni, usiadła na przednim miejscu.

W kuchence, zbudzona przez kukułkę i wykrzyk Lusi, pani Aniela zerwała się z tapczana, przełknięta tém, że spała tak długo i, zgarniając obiema dłońmi rozrzucony we śnie warkocz, a przecierając senne jeszcze oczy, wołała:

– Julku! czy ojciec śpi jeszcze? Julku! samowar nastaw! prędzej tylko! Mój Boże, jakżem ja zasnęła! Ojciec już nie będzie miał czasu przed wyjściem do biura porządnie wypić herbaty!

Żywa bardzo, choć ciężka nieco, z wyrazem niepokoju i zakłopotania na czerwieńszej, niż kiedy, twarzy, przebiegła bawialnią, wszedłszy do sypialnego pokoiku, na palcach, z ostrożnością niezmierną, zbliżyła się do łóżka, na którym snem kamiennym usypiał pan Marcelli, i dłoń swą na czole jego położyła. Rzecz szczególna! ręka jéj zgrubiała, ciężka, powleczone skórą czerwoną i szorstką, dziwnie międko, łagodnie, pieszczotliwie nawet spoczęła na bladém, suchém i mnóstwem drobnych zmarszczek okrytém czole mężczyzny. Być może, iż dobroczynne złudzenie sprawiło, że cofnął się on w téj półsennéj chwili ku najmłodszym swym latom, że zdało mu się, iż w ojcowskiéj zagrodzie czoła jego dotyka młoda gałązka brzozy, lub skrzydło białego motyla; bo otworzył oczy pełne blasku i życia, a kąty ust jego podniosły się i zarysowały uśmiech wesoly. Z tym wyrazem na twarzy, pan Marcelli wydawał się innym wcale, niż zwykle, człowiekiem. Możliwy byłoby powiedzieć, że istotna natura jego na mgnienie oka wyrzwała z za maski, którą szczelnie, szczelnie przykleił do niej los. Trwało to przecieź krótko.

– Piąta już biła, Marcelli; za pół godziny... do biura – rzekła pani Aniela, a jakkolwiek mówiła to cichym głosem i z tym uśmiechem, który u niej, pośród warg zbyt szerokich, grubych, odsłaniał dwa rzędy zębów, pięknych jak perły; jakkolwiek, mówiąc to, przesuwając dłoń swą po włosach jego ruchem matki raczej, niż żony lub kochanki; na twarz pana Marcellego spadła znowu maska sztywna, sucha, pomarszczona na czole, a na policzkach od starannego wygolienia lśniaca. Obie splecione dłonie położył na głowie, szklannym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał przez chwilę, całą postawą swoją i całym wyrazem twarzy zdając się bezustannie, monotonna powtarzać:

– Co było, to jest, co jest, to będzie!

Mniej, niż w godzinę potém, po wypiciu herbaty, do której pani Aniela podała chleb razowy, bułki i mleko, pan Marcelli włożył na siebie surdut swój z pozłocanymi guzikami i zielonym aksamitnym kołnierzem, a wzięwszy w rękę czapkę, na której mdło świeciła srebrna gwiazdka zwrócił się do Julka:

– Jakże tam idzie ci w szkołach? – zapytał.

– Jak zwykle, ojcie! – odparł chłopak – dobrze jakoś!

– Dobrze? to dzięki Bogu! – rzekł kancelista i chudą bladą ręką swą przeciągnął parę razy po główce dziecka.

– Ucz się, ucz się! – dodał. Otworzył usta, jakby do téj lakonicznej rady czy nauki coś jeszcze dodać pragnął. Lecz, bądź to przez odzwyczajenie się od mówienia, bądź przez pośpiech, bądź, że myśli, które miał w głowie, mąciły się, w skutek rzadkiego porządkowania ich i wyrażania, nie powiedział nic więcej, tylko, powtarzając wyraz: ucz się, ucz się, – mieszkanie opuścił.

Po odejściu męża, pani Aniela znowu przez czas jakiś brząkała w kuchence naczyniem, które myła i porządkowała; po czém przyniosła do bawialnej izdebki kosz z bielizną i, usiadłszy przy małej lampie, zabrała się do szycia i naprawiania mężowskiej, synowskiej, a może i swojej odzieży. Przed rozpoczęciem jednak roboty swój, spojrzała przez ramię na syna i krótkim rozkazującym głosem dowódcy, jakim zwykła była przemawiać, zawołała:

– Julek! ucz się!

Chłopak wziął kilka podartych książczyn i, usiadłszy przy matczynój lampce, gorliwie, półgłosem uczyć się zaczął. Lusia siedziała na swém wysokim krześle, przy oknie, w uprzedniej postawie, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni. Zamyślonym swym, chmurnym nieco wzrokiem patrzała ona na żółte ściany, niby czarną podartą krepu, osnute lekkimi cieniami, – na mosiężne wahadło zegara, które jak złota iskra miarowo błyskało to z jednej strony dwu grubych czarnych sznurów, to z drugiej, – na kółko świetlane, które prostopadle nad lampką, pośród sufitu, naśladowało bladą tarczę miesiąca, – na panią Anielę nakoniec, która, w kilka chwil po wzięciu do rąk roboty, tak w niej całą duszę swą utopiła, iż zniknęła ona całkiem z jój twarzy. Ze zmarszczoném czołem i przygarbionymi plecami, z oddętymi wargami i okiem szklistém, w którém nie było śladu żadnej myśli, kobieta szyła, cerowała, łątała, od czasu do czasu tylko wzdychając ze zmęczenia, czysto mechanicznie, albo z zakłopotaniem kręcąc głową, gdy dwa kawałki płótna zejść się z sobą nie chciały, albo dziura jakaś była tak wielką, że zasnuć jój niemi przedstawiało niezwykle trudności. Parę razy, w celu poprawienia warkocza, który osunął się i grubym złotym węzłem spłynął na przygarbione jój plecy, podniosła głowę i zawołała:

– Julek! ucz się!

Julek prostował się, a głos jego, który był przycichł na chwilę, znowu brzmieć zaczynał w cichój izdebce, podobny do monotonnego brzęczenia pszczoły. O Lusi pani Aniela zdawała się zapominać. Dziewczynka nie zbliżała się do niój, ani ona jój nie przyzywała ku sobie, i wtedy dopiero, kiedy kukawka, załopotawszy skrzydłami nad cyferblatem zegara, po razy dziesięć, z nieścignionój zda się oddali, przywołała wiosnę, zieleń i wesołość, pani Aniela zerwała się z siedzenia, pośpiesznie do kosza złożyła robotę i zawołała:

– Dzieci! spać!

I zaczęła słać pościel, naprzód na dwóch łózkach w sypialni, potem na kanapie w bawialnej izdebce i na tapczanie w kuchence.

W kilka chwil później, zajęta już była czyszczeniem skromnej sukienki Lusi i owijaniem w małe papierki posrebrzanych guzików u mundurka syna, ażeby nie niszczyły się przez noc.

– Julek! zmów pacierz! – zawołała.

Chłopak upadł na kolana przed tapczanikiem swym, z takim zniecierpliwieniem, że aż zatrzęsa się podłoga kuchenki.

– A ty moje dziecko? czy umiesz pacierz?

– Umieć! – odpowiedziała Lusie.

– No! to zmówże go zaraz.

I dziewczynka ukłękła także przed wysoką, rozłożystą kanapą, splotła u piersi małe ręce, a czarne, zamyślane oczy wzniosła wysoko, tam, kędy żółta ściana łączyła się z opylonym sufitem. I dziwna rzecz! teraz dopiero kilka drgnień nerwowych przebiegło drobne, piękne jój rysy i strumień łez popłynął z oczu. Był to przecież płacz cichy, tak cichy, że pani Aniela nie dosłyszała go, ani spostrzegła, tém bardziej, że usłyszawszy na wschodach mężkie kroki, otwierała z pośpiechem drzwi

mieszkania, aby na godzinę przed północą wracający z biura mąż jój ani chwili nie czekał przede drzwiami. Troskliwość ta zbyt dużą nie była. Pan Marcelli bywał w porze tej więcej, niż kiedy, zmęczonym i zmartwiałym. I nie dziw! Do sześciu godzin dziennych, spędzonych nad machinalnym przepisywaniem urzędowych papierów, dodał on jeszcze pięć wieczornych i – jakkolwiek pracował tylko rękoma, głowę miał ciężką, senną i znużoną. Rzecz to jest zresztą pospolita i zwykła, że wśród pracujących ludzi ci miewają wieczorem najciężej senne i znużone głowy, którzy głowami nie pracują wcale...

Małżonkowie nie powitali się pocałunkami, ani głośną rozmową, tylko pani Aniela uśmiechnęła się do męża, zwykłym sobie uśmiechem szerokim, lecz świeżym; on zaś, na odpowiedź, suchą swą, bladą dłonią pogłaskał z lekka złoty jój warkocz.

– Idź-że! rozbieraj się, – rzekła – a ja zaraz przyjdę z gazetą.

Z gazetą! cóż ich znowu obchodzić mogły gazety, owe posłanniczki dalekich światów, opowiadające o przestrzeniach szerokich, wypadkach wielkich, ludziach sławnych, nadziejach i trwogach ogromnej ludzkości, – ich, którzy żyli w ciasnym żółtym gnieździe, pod samym prawie niebem umieszczonym, wśród drobiazgow i pospolitości ubożego bytu? – ich, nieznanym nikomu i wzajemnie prawie nieznających! Obchodziły one jednak pana Marcellego bardzo gorąco i musiało to być zamiłowanie wielkie, skoro i on i pani Aniela decydowali się corocznie na wielki dla nich wydatek prenumerowania gazety. Decydowali się jednak, i jedyne te, znajdujące się w domu ich druki (oprócz książek do nauki Julka), zamknięte w szufladzie komody, zostawały, jak wszystko zresztą w domu, pod pilną strażą pani Anieli. Z gazetą tedy w rękę pani Aniela weszła do sypialnego pokoiku i, usiadłszy pomiędzy dwoma łózkami, głośno czytać zaczęła o dokonywających się we Francji wyborach do parlamentu, o rozprawach w austriackiej radzie państwa, o angielskich wigach, irlandzkich Fenianach, Kedywie egipskim, Szachu perskim, o Afganistanie, Abissynii, Meksyku, Rzeczypospolitej Argentyńskiej i t. p. Z całego usposobienia pani Anieli z łatwością wniesć było można, że wszystkie rady i parlamenty, i wszyscy kanclerze państw wszystkich, że wszyscy Kedywi, Emirowie i wszystkie formy rządów, i plany dyplomacji, stanowiły dla niej tylko chaos imion i wyrazów, obojętny, nudny, niezrozumiały i ochoty do zrozumienia nie budzący. Była bardzo zmęczoną dniem przepracowanym, była też znużoną czytaniem śmiertelnie; lecz najbystrzejsze oko daremnieby w całej powierzchowności jój szukało najlżejszego objawu zmęczenia i znużenia. Czytała głośno, równo, wyraźnie, uśmiechniętymi ustami; a kiedy poziewanie dławic ją zaczynało w sposób nieprzewyciężony i powieki opadały na oczy tak ciężko, jakby były przepojone ołowiem, z nad wielkiego arkusza gazety rzucała parę szybkich spojrzeń na męża... Pan Marcelli, leżąc nawznak i paląc cygaro, wydawał się skąpanym w jakichś życiodawczych, odmładzających wodach. Oczy jego błyszczały, twarz mieniła się grą uczuć różnych: zadowolenia, zmartwienia, wesołości, obawy. Niekiedy z energicznymi gestami wydawał głośne okrzyki:

– A niech-że go! tego Bismarcka! – wołał – zawsze wynajdzie on sposób jaki, aby postawić na swoim!

Albo z szerokim, serdecznym śmiechem:

– Liberalni zwyciężyli! tegom się spodziewałem! O! nie zduszą ich już we Francji, nie zdławią! Ot kraj... niebo!

To znowu, zamyślając się, poważnie mówił:

– Ktoby się to mógł spodziewać, aby systemat federacyjny raz jeszcze upadł w Austrii! Czy oni nie widzą, że jest to dla państwa jedyna deska zbawienia!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.